Cena w Warszawie i na prowincji 40 gr. № 6.

REFLEKTOR

Pismo Tygodniowe

Warszawa, dnia 19 lutego 1928 r.

KATOLICYZM DZIENNIKARSKO-WYBORCZY.

Zgóry zaznaczamy, iż artykuł niniejszy nie jest artykułem agitacyjnym na rzecz jakiejkolwiek listy wyborczej. Nie jest też wcale skierowany przeciw listom katolicko-narodowym; listom tym bynajmniej nie życzymy klęski, — która zresztą i bez specjalnych życzeń jest nieunikniona. Jak nie widzimy nieszczęścia w zatwierdzeniu listy komunistycznej i nie potępiamy przedstawicieli ugrupowań prawicowych, że za ich sprawą się to stało,— tak też nie będziemy mieli za złe zwolennikom bloku katolicko-narodowego, gdy będą głosowali na kandydatów tego bloku. Będą w Sejmie komuniści, niech będą i katolicy narodowi. Tak dobrzy są jedni, jak i drudzy. Dowiemy się przynajmniej, ilu jest w Polsce amatorów raju sowieckiego i ilu jest bezgrzesznych katolików, którzy nie poważą się zgrzeszyć przeciw przykazaniom „Polaka-Katolika", „Gazety Warszawskiej", p. Strońskiego i innych wodzów partyjnictwa monopolizującego katolicyzm.

Nie wdając się w walkę agitacyjną, chcemy tu oświetlić jedynie samo zjawisko dającego się współcześnie obserwować tworzenia jakby nowej wiary politycznej, dla której najwłaściwszą nazwą wydaje się nam „katolicyzm wyborczy".

Obserwator partyjnie niezaangażowany widzi doskonale, że to zgromadzenie wiernych adeptów byłej „ósemki", czyniące wrzask pod sztandarem katolicyzmu wokół liczby 24, nie ma nic wspólnego z katolicyzmem istotnym, z religią rzymsko-katolicką, a jest tylko jakąś sektą czy herezją, mętną kombinacją partyjną, stworzoną pod znakiem wyborów i usiłującą obałamucić warstwy mało społecznie uświadomione użyciem a właściwie nadużyciem pojęcia od wieków ustalonego i niezmiennego.

Za katolików przywykliśmy uważać ludzi, którzy należą do społeczności Kościoła rzymsko-katolickiego i wyznają naukę tego Kościoła.—„Katolicyzm wyborczy" głosi, że ten tylko jest prawdziwym katolikiem, kto należy do ugrupowań politycznych prawicowych i kto czytuje z dobrą wiarą „Gazetę Warszawską", „Warszawiankę", „Rzeczpospolitą", „Polaka-Katolika" i tym podobne pisma. *Wszyscy inni*—to masoni, żydzi, heretycy i wrogowie Kościoła. Podkreślamy te słowa „wszyscy inni", bo dziennikarze katolicko-narodowi tak się zagalopowali w wynajdywaniu „wrogów Kościoła", że w zapale agitacyjnym nie dostrzegają jakie z tego mogą wyniknąć konsekwencje.

Polska jest bezsprzecznie krajem wybitnie katolickim. Niekatolicy stanowią znaczną mniejszość. I nie trzeba tego udowadniać, gdyż są to sprawy ogólnie znane.

Cóż jednak może się okazać po ogłoszeniu wyniku wyborów?

Według przykazań partyj, stojących rzekomo na gruncie katolickim, powinni wszyscy prawdziwi katolicy głosować tylko na listy uznawane przez owe partje za katolickie, a przedewszystkiem na listę nr. 24. Na inne listy, na listy „wrogów Kościoła" nie wolno głosować pod grozą popełnienia grzechu.

Otóż rozumując logicznie, należy przypuścić, że żaden katolik nie zechce świadomie zgrzeszyć (a prasa prawicowa uświadamia swoich czytelników codziennie) i nie będzie głosował na listy „wrogów Kościoła". Stąd wniosek naturalny, że liczba głosujących na listy „katolickie" powinnaby mówić o katolickości Polski, bo przecież według twierdzeń prasy „katolicyzmu wyborczego", wyborcy oddający swe głosy na inne listy nie powinniby być uważani za katolików.

Idźmy dalej.

Prosta arytmetyka wskazuje, że przy uwzględnieniu proporcjonalnem liczebności wyznawców katolicyzmu do ludności innych wyznań—na ogólną liczbę 444 mandatów powinni katolicy wejść do

Sejmu w liczbie przekraczającej 300 mandatów. Sądząc z nastrojów przedwyborczych, listy t. zw. katolickie nie uzyskają więcej jak może 100 mandatów—i tu zaczną się konsekwencje najciekawsze. Przyjąwszy punkt widzenia „katolicko-wyborczy“, trzebaby z takiego wyniku wyborów wysnuć wniosek, że katolicy w Polsce są mniejszością, a wobec tego Polska nie jest wcale krajem zdecydowanie katolickim. I napewno wniosek taki wysuwają rzeczywiści wrogowie katolicyzmu i Kościoła, a będą mieli ku temu wszelkie podstawy w motywach zaślepionej agitacji rozpętanej przez „katolicyzm wyborczy“.

Zbytecznem jest dowodzić, że ta dziennikarska „praca“ dla katolicyzmu jest bardziej szkodliwa dla Kościoła, aniżeli wszelkie knowania „masonów“—i bardziej podważa katolicyzm, aniżeli go wspiera.

Drugiem zagalopowaniem się dziennikarzy katolicko-wyborczych, jest stworzenie nowego prawie dogmatu: nie wolno głosować na listę nr. 1— i nowych pojęć o grzechu: grzechem jest głosowanie na listę nr. 1. Wyraźnie o tem pisze „Polak-Katolik“: „Wyborca katolik grzeszy, gdy... oddaje swój głos przy wyborach na przeciwników Kościoła — na liście nr. 1 figurują „nazwiska wybitnych i jawnych wrogów Kościoła“ — „Takiej listy nie wolno katolikowi popierać ani moralnie, ani materjalnie, ani przez głosowanie“, — bo popełni... grzech.

Ta absurdalność twierdzeń herezji, którą nazwaliśmy „katolicyzmem wyborczym“ przekracza już wszelkie granice.

Wybory są aktem państwowym, a nie aktem religijnym. Przy wyborach idzie nie o interesy Kościoła ani o zasady religji, lecz o Państwo — o Polskę. Sejm i Senat—to przecież nie dozór kościelny, nie konsystorz, i nie sodalicja.

Ci sami dziennikarze, którzy wynaleźli ów nowy „grzech“ rozprawiają wiele o kulturze katolickiej narodu polskiego, ale traktują ten naród jak plemię dopiero co nawróconych dzikusów, którym można powiedzieć: to jest grzech — i musisz w to wierzyć. Kłamać, rzucać oszczerstwa, szkalować bliźnich, podkopywać rząd, który wyprowadza Polskę z nieładu – to nie jest grzech. Grzechem jest głosowanie na listę nr. 1.

I znowu wynikają z tego ciekawe konsekwencje.

Bo oto np. książe J. Radziwiłł, który jest jednym z kandydatów listy nr. 1, — na zapytanie w sprawie swojej kandydatury otrzymał od ks. biskupa Łuckiego Szelążka taką dosłownie odpowiedź: „Nie tylko upoważniam, ale proszę o postawienie swej kandydatury na liście nr. 1“.

W takim razie i ks. biskup Szelążek zgrzeszył?

Tenże ks. Radziwiłł oświadczył publicznie, iż do pracy na rzecz rządu Marszałka Piłsudskiego został „osobiście zachęcony przez najwyższy autorytet kościelny i to za pośrednictwem poważnych osób, które miały szczęście w tym czasie uzyskać prywatne posłuchanie u Ojca Świętego Piusa XI, przyczem padły słowa wyraźnego potępienia prób rozbijania bloku, popierającego rząd...“

A w takim razie...

Nie.—Przez szacunek dla Głowy Kościoła nie wysnuwajmy już konsekwencyj, jakieby nastręczało dziennikarskie pojęcie „grzechu“.

W każdym razie po 4 i 11 marca okaże się że ogromna większość katolików okropnie „zgrzeszyła“ — i ci dziennikarze, którzy dzisiaj tak energicznie pragną ochronić społeczeństwo katolickie od grzechu, nie zdają sobie widocznie sprawy z tego, w jakim świetle takie masowe „zgrzeszenie“ przedstawi przywiązanie ludu polskiego do katolicyzmu. Całe szczęście, że nikt nie będzie brał owego „zgrzeszenia“ poważnie, bo przecież ludzie nie oślepieni cyfrą 24 potrafią odróżnić katolicyzm istotny od dziennikarskiego, „katolicyzmu wyborczego“.

Na jaki tylko pomysł agitacyjny wpadną ci heretycy z sekty „katolicyzmu wyborczego“, to zawsze przeholują, zagalopują się do utraty przytomności. Chcą być bardziej katoliccy, niż biskupi, niż sam papież nawet. Oni orzekają, co jest, a co nie jest katolickie i gdzie jest, a gdzie niema grzechu. Urządzają nabożeństwa na intencję pomyślnego wyniku wyborów, który to pomyślny wynik ma oczywiście oznaczać zwycięstwo listy nr. 24, — tak jakby wątpili w sprawiedliwość wyroków Bożych, i jakkolwiek niby wierzą, że Bóg ma Polskę w szczególnej opiece, to jednak uważają za potrzebne podkreślić, że pomyślność leży nie gdzieindziej, jak tylko w zwycięstwie liczby 24, bo przecież zwycięstwa innych list nigdy nie uznają za wynik pomyślny.

Wierzą niby, że wszystko dzieje się za zrządzeniem Boga, a jednak rząd Marszałka Piłsudskiego uważają za nieszczęście narodowe, za klęskę i walczą przeciw temu rządowi, nie cofając się przed żadnemi środkami, a nie pomyślą, że raczej powinniby rząd ten znosić w pokorze, jako „dopust Boży“, lub może jako karę za nieprawości — i nie pienić się, nie walczyć, a pokutować.

Jakież to wszystko niekatolickie!

I jeżeli uznać nawet, że katolicyzmowi naprawdę zagraża jakieś niebezpieczeństwo, to niebezpieczeństwem tem są nie jacyś żydzi czy masoni, ale przedewszystkiem dziennikarska herezja „katolicyzmu wyborczego“.

Wytykają nam adepci tej herezji, czyniąc z drwinami i kpinami aluzję do jednego z artykułów w nr. 1 „Reflektora“, że „chcemy pomagać Panu Bogu“, — ale nie zdają sobie sprawy z tego, że oni — mówimy to poważnie, bez drwin pomagają samemu djabłu.

C. CHESTERTON O MARSZAŁKU J. PIŁSUDSKIM.

Doprawdy, dumni możemy być, że żyjemy w czasach, gdy Wodzem Narodu jest Marszałek J. Piłsudski, będący w dziejach zjawiskiem, jakie nietylko na przestrzeni wieków, ale nawet na przestrzeni tysiącleci rzadko się objawia.

Ta duma skłania nas do skrzętnego gromadzenia dokumentów, które mówią nam Prawdę o Nim.

Poniżej przytaczamy głos znakomitego angielskicgo pisarza Cecila Chestertona (artykuł ogł. w londyńskim dzienniku „Times“ z dn. 23 maja 1926 r. a więc wkrótce po pamiętnych wypadkach majowych).

Jakże ten głos dziwnie daleko odbiega od tego wszystkiego, co piszą i mówią o Marszałku „swoi“ — ci z bloku nr. 24, którzy na wodza upatrzyli sobie p. Trąmpczyńskiego, którego „poważną opinję“ przytoczyliśmy w poprzednim numerze „Reflektora“.

Oto co pisał C. Chesterton:

„Po raz pierwszy ujrzałem Józefa Piłsudskiego w roku 1919 w Warszawie. Był on dla mnie oddawna legendarnym bohaterem! Lecz przyznam się, że gdy ujrzałem jego zgarbioną postać w starym mundurze, stojącą na uboczu, smutną i tak bardzo wyróżniającą się z pośród swych oficerów w pięknych błyszczących mundurach, to byłem nieco zawiedziony.

Pochylony, z twarzą skupioną, pooraną głębokiemi brózdami miał on wygląd zaniedbany. Nagle zwrócił się do obecnych i przemówił, a w tej chwili genjusz jego zabłysnął jak klinga stalowa wyjęta z ciemnej pochwy, oczy jego zapaliły się ogniem wewnętrznym. Piłsudski posiada spokojny, lecz tak wybitnie stanowczy i nieubłagany głos, który chociaż pozbawiony jest momentów uczuciowych przykuwa tak uwagę, że pozostaje na zawsze w pamięci. Nigdy nie słyszałem głosu bardziej odpowiedniego dla wielkiego wodza, głosu rozkazującego, nie znoszącego sprzeciwu.

Piłsudski tak jak Wellington jest człowiekiem prostych nawet surowych obyczajów. Jego prywatne mieszkanie przypomina swą prostotą celę klasztorną. Łoże jego jak łoże Wellingtona jest wąskie i twarde, niezbędne minimum sprzętów stanowi jego umeblowanie. Białych czystych ścian nie zdobi nic prócz portretu Kościuszki i małego srebrnego krucyfiksu, który był jego nieodstępnym towarzyszem w czasie jego wygnania na Syberji i w czasie wtrącenia go do twierdzy niemieckiej w Magdeburgu.

Piłsudski jest jednocześnie syntezą polskich zalet i zaprzeczeniem wad narodowych. Ceni on wrodzoną wymowność polaków lecz sam nie jest człowiekiem „słowa“.

Aczkolwiek sztuki piękne nie są jego dziedziną, lecz o ile mi wiadomo wspierał on niejednokrotnie uzdolnionych artystsw malarzy, by mogli oni przynieść sławę dla imienia polskiego. Jest jednak demokratą z przekonań.

I z pomiędzy wielu historji, związanych z jego imieniem najbardziej popularną jest ta, która opowiada o jego procesie w sądzie rosyjskim za bunt przeciwko dynastji. Na zapytanie w jaki sposób on, pochodzący ze starożytnego i zamożnego rodu, mógł być przywódcą partji walczącej o prawa prostego ludu, Piłsudski dał odpowiedź, która tkwi w pamięci każdego polskiego patrjoty:

— Ażebyście mogli mię zrozumieć muszę wam przypomnieć, że wtedy gdy rosyjscy książęta tratowali końskiemi kopytami swoich bojarów— moi przodkowie byli już wolnymi obywatelami. Jakżeż więc możecie się spodziewać, że nie będę walczyć za wolność Polski i Polaków.

Piłsudski nie uznaje różnic klasowych. Polski arystokrata jest dla niego równoznaczny z polskim chłopem.

Nigdy nie zapomnę jego przybycia do polskiego dowództwa w czasie wyprawy przeciw ukraińcom. Po forsownym ciężkim przemarszu oddziały wojskowe wygłodzone, w podartych butach przeżywały odpowiednio przygnębiający nastrój. Piłsudskiego nie spodziewaliśmy się wcześniej niż następnego wieczoru, lecz swoim zwyczajem zjawił się on niespodzianie, przybywszy wcześniej o całe 24 godzin. Tak jak zwykle obecność jego wywarła niezmiernie silne wrażenie na żołnierzy. Jego spokojna postać o nieco oryginalnym sposobie chodzenia ukazywała się w każdym pułku nie bacząc na zmęczenie. Daremnie szef sztabu upraszał go by odpoczął i posilił się. Następnego dnia wczesnym rankiem Piłsudski wrócił do kwatery i wówczas udzielił mi wywiadu, przypominając sobie jednocześnie, że „on też niegdyś był dziennikarzem“.

Piłsudski „zawsze pamięta“ i to stanowi jedną z tajemnic jego siły.

Gdy na nowo odwiedziłem Polskę w roku 1921 Piłsudski, Bożyszcze narodu, otrzymał najwyższe honory i zaszczyty państwowe, które jednak żadnego wpływu na nim nie wywarły. Pozostał on nadal tą samą skromną osobistością, stojącą na uboczu i z dala od życia towarzyskiego.

Podczas specjalnego wywiadu powiedział mi, iz wierzy w Polskę wolną, niepodległą a zatem niezależną od wszelkich sojuszów, oraz nie widzi potrzeby zawierania jakichkolwiek układów z Rosją i Niemcami.

Jest on urzeczywistnieniem i wcieleniem idei męczeństwa patrjotycznego. Prześladowany przez dwie potęgi państwowe, które każdy Polak nauczył się nienawidzieć i dlatego też jest on popierany i przez chłopa, i przez robotnika, i przez ziemianina. Wyzuty jest z jakichkolwiek osobistych ambicyj, nie pożąda on ani majątku, ani władzy. Fanatyk w czynieniu dobra dla swego kraju niepokonany, niezdobyty, nieskazitelny. I wszelkie wysiłki jego wrogów nie zdołały wykryć najmniejszych rysów egoizmu w całokształcie jago życia. Bardzo prosty i bardzo uprzejmy naraz gdy zachodzi potrzeba znajduje w sobie siłę milczenia i moc czynu.

A w chwilach, gdy w narodzie dojrzewa decyzja, jest on wyrazicielem jego woli“.

KARTKI LITERACKIE

O POEZJI POLIFONICZNEJ.

Muzyka i poezja mają zasadnicze pierwiastki tworzywa wspólne: dźwięk (ton w muzyce, słowo w poezji)—i rytm. Różnica polega jedynie na odmiennem pojmowania dźwięku w muzyce i poezji; pozatem bowiem pokrewieństwo obu sztuk jest zupełne co zresztą potwierdza wyraźnie ich rozwój dziejowy.

Na początku był śpiew, czyli poezja i muzyka zarazem. Swiadczy o tem pieśń ludowa, która nigdy samodzielnie jako poezja, lub jako muzyka nie istniała. Skoro zaś pokrewieństwo muzyki z poezją może być brane w znaczeniu dosłownem, można słusznie uważać, że wszystkie zdobycze tych sztuk w zakresie możliwości rytmicznych i dźwiękowych (z wyjątkiem ściśle tonalnych i ściśle słownych) są wspólną własnością zarówno poezji, jak i muzyki—i tę wspólnotę można zauważyć na wszystkich etapach rozwoju obu sztuk. Rytm np. jest przyrodzoną własnością słowa. Muzyka wyszła w tym kierunku poza poezję. Początkowe melodje pieśni miały rytm słów tych pieśni. Później, w dalszym rozwoju muzyki instrumentalnej, wszystkie formy rytmiczne poezji znalazły zastosowanie w muzyce. Takty muzyczne $^2/_4$ lub $^4/_4$ mają swe źródło w poetyckich trochejach, jambach i spondejach, — takty $^3/_4$ $^2/_3$, $^6/_8$ są kombinacjami anapestów, daktylów i amfibrachów, rytm $^6/_8$ można porównać z heksametrem, rytm $^{12}/_8$ z aleksandrynami. Rymy poetyckie mają pokrewieństwo z akordami lub kadencjami okresów. Również wszystkie formy poetyckie były używane w muzyce, a muzyczne w poezji (ronda, elegje, nokturny, preludja, scherza i t. d.). Wspólnota na całej linji.

Rozwój sztuk pięknych postępował zawsze w kierunku rozszerzenia form i środków artystycznego wypowiedzenia się twórcy. I jeżeli dzisiaj poeci zajmują się więcej niż kiedykolwiek „muzyką słowa“, to nie jest to bynajmniej ani naśladownictwem muzyki tonalnej, ani zapożyczaniem się—jest zupełnie uprawnionem i naturalnem wykorzystaniem tych możliwości, które tkwią w samej naturze dźwięku poetyckiego, w naturze słowa i rytmu, a ich dźwięk jak i rytm są wspólną bez żadnych ograniczeń własnością i poezji i muzyki.

Uświadomienie tej wspólnoty prowadzi do rozwoju form dźwiękowych poezji, która—jak dotąd—rozwijała się prawie wyłącznie w kierunku doskonalenia form „rodzajowych“.

Jedną z możliwości tego rozwoju form mogłoby być zastosowanie w poezji środków polifonji muzycznej: poezja polifoniczna czyli wielogłosowa, albo—jak niektórzy ten rodzaj nazywają—synchronistyczna.

O poezji polifonicznej pisałem już przed kilku laty w „Gospodzie poetów“, ukazując nowe możliwości przeniesienia form muzycznych na grunt poezji. Pomysł nie jest zresztą nowy. Slady polifonji poetyckiej spotykamy już u Mickiewicza (w Improwizacji—głos z prawej i głos z lewej strony jednocześnie), współcześnie u Rostworowskiego i in. Są to jednak tylko ślady. Utworów „programowo“ polifonicznych dotąd nie mamy,—zapewne z powodu małej znajomości form muzycznych wśród poetów.

Cóż to jest poezja polifoniczna?

Polifonja w poezji — podobnie jak w muzyce polega na wprowadzeniu do utworu poetyckiego jednocześnie kilku głosów sharmonizowanych zewnętrznie— dźwiękowo — i wewnętznie — ideowo, pisze się jakby kilka utworów jednogłosowych, równoległych, które czyta się czy wypowiada jednocześnie.

Utwór dwugłosowy pisze się w dwóch szpaltach, trzygłosowy — w trzech i t. d. Czytanie takich utworów nie sprawia trudności — wymaga jedynie przyzwyczajenia oka, leży bowiem całkowicie w granicach zdolności wzrokowej człowieka (oko muzyka z łatwością czyta kilka a nawet kilkanaście pięciolinij partytury). Dla recytacji utworu polifonicznego potrzeba oczywiście kilka osób, podobnie jak do wykonania muzycznego duetu lub tercetu. Słuchanie takich utworów może nastręczać pewne trudności tylko w początkach z powodu niewyszkolenia ucha, bo jednak ucho jest przystosowane do chwytania kilku a nawet kilkunastu dźwięków jednocześnie (muzyka orkiestrowa, śpiew chórowy). Próby w tym kierunku były już przeprowadzone i wypadły zupełnie zadowalająco.

Polifonja poetycka, uprawiana świadomie i celowo, mogłaby odsłonić przed sztuką poetycką nowe dziedziny i odkryć nowe wartości słowa nowe środki wypowiadania się. Muzyczne warjacje, imitacje, figuracje, kanony, fugi równie dobrze mogą być stosowane w poezji, jak są stosowane w muzyce. Zwrot poezji ku polifonji stworzyłby z konieczności poetycką harmonję i kontrapunt, a także musiałby wywołać zajęcie się problemami „instrumentacyjnemi“ — barwami zespołów. Cały szereg nowych możliwości kryje w sobie polifonja poetycka.

Jako przykład poezji polifonicznej podaję utwór p. t. „Swiatowid“, napisany na cztery głosy, a więc odpowiadający kwartetowi muzycznemu. Utwór ten stanowi jedną z pierwszych prób zastosowania polifonji w poezji — jest eksperymentem.

Przypisek. W czytaniu należy przebiegać okiem jednocześnie wszystkie cztery wiersze poziome. Do recytacji potrzebne są osoby, które też jednocześnie będą mówiły wiersze poziomowe z zachowaniem odpowiednich pauz.

Wacław Jurczyk.

Objaśnienie niektórych wyrazów, użytych w utworze „Światowid“:

zgliszcze — miejsce ofiar. palenia ciał.
horodyszcze — gród, capitolium osady słowiańskiej.
rok — las, gaj poświęcony.
zagon — granica osady słowiańskiej.

WACŁAW JURCZYK.

ŚWIATOWID

Czwórgłos czworga twarzy światowidowych.

1.

Na wszystkie
świata strony
wciąż patrzę — w dal —
Ja — Bóg — Światowid —
Straż dziedzin Lecha
nieustająca —

Spoglądam na wschód
i promieniami porannego słońca
a potokami świetlnych smug
rzucam na ziemię
mego narodu
błogosławieństwo.

Ja —
czworga twarzy
Światowid —
Bóg

— — — — — — — —

Codzień o świcie
na nowe życie
budzi cię ludu
mój złoty róg.

— — — — — — — —

Ja —
czworga twarzy
Słowiański
Bóg

Codzień o świcie
ogniste wicie
rzucam wkrąg —
wzywam
na znój
na trud
Lechicki ród,
na bój,
na srogi —
pójdziesz mój ludu
pójdziesz na wrogi —
na Czernobogi.

Wytrwasz —
zwyciężysz

Słuchaj
gdy zabrzmi
mój złoty róg

2.

Na wszystkie
świata strony
wciąż patrzę — w dal —
Ja — Bóg — Światowid —
Straż dziedzin Lecha
nieustająca —

Spoglądam
w stronę zachodu
i łun wieczornych szkarłatem
zaszczepiam w duszy
memu narodowi
— nieśmiertelność,

czynów słonecznych
święte szaleństwo —
daję mu dzielność,
która rozprószy
zastępy chmur
i lud mój wzniesie
na szczyty gór

Jak słońca cudu —
Tako i ciebie
nie zgnębi noc —

Dałem ci, ludu,
słoneczną moc —
wytrwanie —
do wielkich, górnych
spraw powołanie —
do walki z Czernobogiem
odwiecznym moim
i twoim wrogiem.

— — — — — — — —

Gdy słońce zajdzie
aby nie zmylić
gwiezdnych dróg
czuwaj —
bądź gotów —
jako napięty
do strzału łuk.

3.

Na wszystkie
świata strony
wciąż patrzę — w dal —
Ja — Bóg — Światowid —
Straż dziedzin Lecha
nieustająca —

Patrzę ku południowi
i słońca blasków świetlne tonie
skupiam — gromadzę
nad Lechji światem
na wielki czas —
na cud — południe
mego narodu.

Ja —
czworga twarzy
Słoneczny
Bóg.

— — — — — — — —

Syt sławnych plonów
po wiekach trudu
spoczniesz, mój ludu
na żrzałym łanie —
Słońce ogarnie
twych jezior planie
twe święte zgliszcza —
twe horodyszcza —
trwać będziesz w blasku
mojego słońca
wiecznie — bez końca

Idź —
i zwyciężaj —

niech ci się darzy.

4.

Na wszystkie
świata strony
wciąż patrzę — w dal —
Ja — Bóg — Światowid —
Straż dziedzin Lecha
nieustająca —

Ja —
czworga twarzy
Światowid —
Bóg.

Ku nieba
północnej stronie
spoglądam,
strzegąc
twoich
zagonów

Bezpieczna twa strzecha
prawnuku Lecha
gdy czuwam Ja —

Ja —
Wszechświatowid
o czworgu twarzy
Lechicki Bóg.

Żaden wój wraży
nie ujdzie memu
czuwającemu
wieczyście oku
ani się waży
pohańbić dęby
świętego roku —

ani się waży
przejść poza próg
mojego chramu

Ja cię powiodę
Ja czworga twarzy
Światowid — Bóg.

Światowid — Bóg.

Dostojna przyszłość,
niech ci się marzy

Jam jest przy Tobie

Ja — czworga twarzy
Światowid —
Bóg

Twego pochodu
jasnych dróg

ja będę strzegł
Ja — czworga twarzy
Światowid —
Bóg

Ja — czworga twarzy
Światowid — Bóg
Stoję na straży.

Symfonja-reflektor.

(z powodu wykonania w Filharmonji warszawskiej symfonji „Święty Boże" J. Maklakiewicza).

Dnia 10 lutego r. b. (data historyczna w dziejach muzyki polskiej) na koncercie symfonicznym w Filharmonji warszawskiej zostało wykonane po raz pierwszy nowe dzieło młodego kompozytora polskiego Jana Maklakiewicza—symfonja „Święty Boże" na wielką orkiestrę, solo barytonowe, chór i organy.

Symfonja, która niby jasna smuga promieni reflektora ukazała nam wielkie wydarzenie w dziedzinie polskiej twórczości muzycznej. Dzieło płomienne, potężne i—rewelacyjne przedewszystkiem w tem znaczeniu, że o ile muzyka nowoczesna jest naogół tylko poszukiwaniem nowych dróg, to symfonja „Święty Boże" jest tych dróg odnalezieniem. Dzieło wzbogacające nie tylko nasz polski dorobek muzyczny, ale i dorobek muzyki światowej, a przytem dzieło nawskroś polskie. Gdyby nie ostrożność, z jaką należy używać określenia „genjalny", tembardziej gdy się pisze pod pierwszem wrażeniem, nie wahałbym się nazwać nowej symfonji—dziełem genjalnem.

Dość powiedzieć, że warszawska krytyka muzyczna, która wszystkie dzieła kompozytorów żyjących, a zwłaszcza młodych, stale „objeżdża" (z zasady), — tym razem zdobyła się aż... na protekcjonalne poklepanie autora po ramieniu: nieźle, nieźle!

Nie jest zadaniem „Reflektora" pisanie sprawozdań z koncertów ani wdawanie się w analizę dzieł muzycznych; należy to do obowiązków prasy codziennej i pism specjalnych. Co o nowej symfonji powiedzą pisma specjalnie muzyce poświęcone — tego jeszcze nie wiemy, ale prasa codzienna (to już wiemy) zachowała się kompromitująco.

Gdy na boisku sportowem jakaś dziewoja ciśnie kopyścią o centymetr dalej, niż wskazuje skrupulatnie obliczony rekord polski albo światowy — wnet wszystkie dzienniki czynią gwałt: artykuły, sprawozdania, podobizny bohaterki w różnych pozach, — na cały świat idą telegramy, radjo roznosi wieści o wielkiem zwycięstwie,—wiele hałasu o nic właściwie, bo o ten głupi centymetr.

Ale gdy polski kompozytor dokona czynu, który naprawdę ma wagę dla naszej kultury narodowej — prasa polska milczy, lub conajwyżej zdobędzie się na wzmiankę krótszą, niż sprawozdania o wypadku samochodowym czy o sprzedaży fałszywych brylantów.

O twórcy nowej symfonji i o jego dziele nic się z gazet nie dowiedzieliśmy, zaledwie w dwóch dziennikach znaleźliśmy krótkie zdawkowe wzmianki, które dadzą się streścić w kilku słowach: tak.. jednak... owszem... ale... zapewne...

Ach ci krytycy! Mają specjalne zdolności do pisania „niczego o czemś". Jeden z krytyków (w Kur. Porannym) zauważył w symfonji tylko... „proces dekrystalizacji ewolucji od form stałych do mętów atonalności... symfonja J. Makl. jest wykładnikiem koncepcji już w swej skrajności przesilonej. Jest ona jednak dokumentem..." itd. — Drugi krytyk (z Kur. Warsz.). kilkakrotnie—jakby wytyka autorowi jego „młodziutkość" i przyznaje łaskawie, że „są w tem porywy młodzieńczej górnej ambicji... są pewne iskry pomysłów indywidualnych... ale.. jest jeszcze bardzo młody... Byle tylko szedł dalej tą samą drogą... pracował..." itd.—to będą z niego „ludzie".

W innych pismach nie znaleźliśmy żadnych nawet drobnych, wzmianek (a może były tak konspiracyjnie umieszczone, że trudno je było zauważyć). Jeden tylko „Kurjer Poranny" dał obok wspomnianej wzmianki „fachowego krytyka" pięknie napisane wrażenia Karola Szymanowskiego—kompozytora o kompozytorze.

Oczywiście, o podobiznie autora nowej symfonji albo o krótkiem bodaj życiorysie nie przyśniło się nawet żadnemu organowi prasy stołecznej.

Gdyby p. Maklakiewicz położył kogoś na obie łopatki albo wybił komuś zęby w bokserskiej potyczce — a! wtedy to co innego... Ale cóż? Napisał tylko... symfonję.

Pozatem gazety nie mają widocznie miejsca dla takich spraw. Muszą przecież na całych szpaltach opowiadać całej Polsce, jakie głupstwo palnął jeden albo drugi redaktor, kto skłamał, kto kogo oczernił, kto jest oszustem itd.

Symfonja i kompozytor—to nie temat.

W. J.

DLA PAMIĘCI.

Notatka w sprawie uposażenia urzędników państwowych.

Urzędnicy wiedzą doskonale, że Rząd nie posiada pełnomocnictw do uregulowania sprawy uposażeniowej, wymagającej nowych źródeł dochodów—i że sprawa ta zawsze zależała i zależeć będzie od Sejmu. Poprawa bytu urzędników zależała jedynie od poprzedniego Sejmu, który wszakże nic w tym kierunku nie chciał zrobić (na złość rządowi) — obecnie głos będzie miał nowy Sejm,

P. wicepremjer Bartel w mowie wygłoszonej parę dni temu w Krakowie, powiedział na ten temat co następuje:

„Stoimy pod zarzutem, że niedoceniamy sytuacji urzędników w państwie, że przyrzeczeń pod tym względem nie dotrzymujemy.

Stwierdzałem wielokrotnie, że nie wyobrażałem sobie, nie będąc urzędnikiem państwowym, iż Polska posiada tak dobrych urzędników i tak bezinteresownie pracujących dla państwa.

Uposażenie ich od czasu powstania państwa było niedostateczne i dzisiaj jest niedostateczne.

Rząd już kilka razy przychodził urzędnikom z doraźną pomocą.

Pomoc ta jest niewystarczająca, ale muszę jednocześnie z całą siłą oświadczyć, że niema środka, zapomocą którego zmuszonoby ten Rząd do zachwiania równowagi budżetowej. Zachwianie jeszcze raz równowagi budżetowej byłoby tak wielkiem nieszczęściem, że ośmieliłbym się to nazwać zachwianiem niezależnego bytu państwa polskiego.

Dopóki nie będą odkryte nowe źródła dochodów, których my sami z braku pełnomocnictw stwarzać nie możemy, stała poprawa bytu urzędników jest niemożliwa.

Dlatego oświadczyłem delegacjom urzędniczym, że jednym z pierwszych naszych projektów w nowym Sejmie jest kwestja wskazania jemu nowych źródeł dochodów, które w pierwszym rzędzie zużyte będą na uregulowanie uposażeń urzędniczych".

A więc sprawę uposażeń urzędników ma uregulować nowy Sejm. Wiemy zresztą, że sprawa ta naprawdę i całkowicie leży w mocy Sejmu.

Piszemy tę notatkę—dla pamięci.

Wiemy bowiem dobrze, że nigdy partje nie zajmowały się losem urzędników tak gorliwie, jak obecnie—i nigdy prasa partyjna tak nie ubolewała nad dolą pracowników państwowych, jak teraz przed wyborami (zwłaszcza dzienniki katolicko-narodowe i socjalistyczny „Robotnik").

Warto te rzeczy zanotować i zapamiętać, aby—gdy zbierze się nowy Sejm — przekonać się, o ile ta gorliwość partyjna i te ubolewania dziennikarskie były szczere.

P. wicepremjer Bartel wyraził się że „kwestja urzędnicza jest przez demagogów używana w sposób małpio-złośliwy, jako taran przeciwko rządowi".

Nowi posłowie będą mieli niedługo możność przekonać nas, że ta „małpio-złośliwa" demagogja nie ma nic wspólnego z uczciwem spełnianiem obowiązków poselskich.

Czy nas przekonają?

Wędrówka po szpaltach prasy.

„Myśl Narodowa" (nr. 4 z dn. 1 lutego) pisze o „Reflektorze":

„W nowym tygodniku „Reflektor" (jakaś efemeryda sanacyjna) program pisma podany jest w artykule p. t. „Chcemy pomóc Marszałkowi", a ten artykuł streszcza się w zdaniu końcowem: „Kto umie patrzeć niezaślepionem okiem, ten wie, że marszałek Józef Piłsudski jest Człowiekiem Danym od Boga. I kto pomaga Marszałkowi — ten — wierzym—pomaga zmęczonemu Bogu". Przetarłszy niezaślepione oko, czytelnik pyta: czy gdyby nie to zrównanie, sanatorzy pisaliby Boga przez dużą literę?"

Niemądre to pytanie stawiają ci, którzy bardzo uroczyście pisali przez dużą literę — o kim?— o zbrodniarzu Niewiadomskim. „ON! On jest Ten, wobec którego my wszyscy, uderzając się w piersi powiedzieć winniśmy, że jesteśmy karły..." (A Neuwert-Nowaczyński).

Co tu zresztą wymagać od ludzi, którzy sami „przyznają, że są karłami wobec „Niego" — mordercy?

Wiece urządzane przez Blok katolicko-narodowy w sali Tow. Hygienicznego kończą się stale awanturami i bijatyką. Gazety rozpisują się o tem szeroko, ale prawdy dowiedzieć się niepodobna. Jeden dziennik opisze zajście, drugi twierdzi, że to wszystko kłamstwo, nazajutrz pierwszy dziennik znowu podaje szczerą „prawdę", Komisarjat Rządu konfiskuje tę „prawdę" i przesyła urzędowe sprostowanie itd. Jedna tylko prawda jest niewątpliwa—że w owych wiecach i bijatykach biorą czynny udział uczniowie i studenci—i to jest z całych tych hec przedwyborczych najsmutniejsze — Dobrzeby było aby ktoś przypomniał młodzieży, że powinna się uczyć, a nie wdawać się w brudną robotę polityczną. Studenci niech myślą o tem, aby się do egzaminu porządnie przygotować, żeby się nie „ścinali" przy każdem pytaniu, — nie zaś, żeby wpływ wywierać na wynik wyborów. A przedewszystkiem niech się uczą, — są studentami — niech studjują.

„Rzeczpospolita" pisze, że „Ludzie przychodzą na wiec nie na to, aby być świadkami bójki i narażać się na oberwanie po głowie w ogólnem zamieszaniu. Nie przychodzą również po to, aby usłyszeć ordynarne wyzwiska i obelgi, rzucane na przeciwników".

Bardzo to pięknie napisane, ale w praktyce ludzie jednak „po to" przychodzą na wiece i „po to" muszą czytać gazety.

W poznańskim dzienniku „Piast Wielkopolski" czytamy:

„Piast nigdy kłamstw nie siał, nie burzył, nie judził, nie denuncjował i dusz ludzkich nie deprawował".

Może to byłoby i prawdą, gdyby opuścić te trzyliterowe słówka „nie" przed wszystkiemi czasownikami.

A może to zecer się omylił?

Z okazji stulecia urodzin znakomitego pisarza francuskiego Juljusza Verne'a pomieścił „Kur. Poranny" (z dnia 8 lutego r. b.) artykuł d-ra M. Stępowskiego, który dowodzi, że Verne naprawdę nazywał się Olszewicz i urodził się w Polsce, w Płocku, a nie we Francji, „w Nantes nad Loarą jak podaje Encyklopedja Larousse'a", co ma być gołosłowne, gdyż „sprawdzenie miejsca urodzin pisarza w księgach metrycznych w Nantes nie jest możliwe z tego powodu, że księgi te w swoim czasie padły pastwą pożaru ratusza w Nantes".

W kilka dni po ukazaniu się artykułu d-ra M. Stępowskiego „Kurjer Warszawski" (z dnia 11 lutego r. b.) pisze:

„Śmiesznie bezczelna i dawno już temu zaprzeczona plotka, jakoby słynny pisarz francuski Juljusz Verne... nazywał się — właściwie Olszewiczem, odżyła... z powodu obchodu setnej rocznicy urodzin... Oczywiście wskrzeszenie tej plotki wywołało oburzenie wśród francuzów, tembardziej, że pochodzenie Verne'a nie stanowi żadnej tajemnicy i że istnieją liczne dokumenty, stwierdzające, iż jest rodowitym francuzem. Nie będziemy tu przytaczali, z powodu braku miejsca całego tekstu metryki urodzin J. Verne'a, stwierdzającej że przyszedł na świat w Nantes dnia 8 lutego 1829 r., zaznaczamy tylko, że rodzicami pisarza byli: Piotr Verne, adwokat i małżonka jego Zofja Henrjetta z domu Allote, oraz, że syn ich ochrzczony był w kościele św. Krzyża".

A więc „Kurjer Warsz." mógłby przytoczyć nawet metrykę, jakkolwiek według „Kur. Por." wszystkie księgi metryczne w Nantes spaliły się.

Gdzie prawda?

Prawdą jest, że im więcej gazet się czyta, tem mniej się wie.

Ogólną uwagę zwracają zamieszczane we wszystkich prawie dziennikach wielkie ogłoszenia oznajmiające, że każdy może otrzymać bezpłatnie wielotomowe wydania zbiorowe dzieł Dickensa, Dumasa, Tołstoja i in. Ogłoszenia pochodzą od jakiegoś przedsiębiorstwa, mianującego się „Wydawnictwem Gutenberga".

Owa „bezpłatna" ofiarność nieznanego krzewiciela literatury musi się każdemu wydać mocno podejrzaną i jest oczywiście jakimś nowym sposobem spekulacji handlarskiej.

Jeden z naszych czytelników (p. Z. B. z Ostowca Wileńskiego) pisze, że na żądanie owej firmy wpłacił nawet pewną sumę i dotąd — po pięciu miesiącach — ani książek, ani żadnej wiadomości nie otrzymał.

Próbka pracy publicystycznej. — Jeden z redaktorów poważnego dziennika stołecznego pisze o innym redaktorze też poważnego dziennika stołecznego:

„.. przy swoim „bolszewickim" stylu jest bez konkurencji. Zamiast polemizować „rozpuszcza pysk" i jest tak rozwiązły w obelgach, że alfonsy i prostytutki dla użytku swoich dyskusji „publicznych" mogłyby śmiało uznać go swoim „honorowym profesorem" w dziedzinie cuchnącego słownictwa".

Blok Katol. Narod. i Chrz. Dem. wystawiają w Warszawie wspólną listę. Mimo to nie najlepsze muszą być w tej spółce stosunki, skoro jedna strona zarzuca drugiej aż... nieuczciwość.

„Gazeta Warsz." z dn. 6 lutego pisze: „Czemu to zaraz po zeszłoczwartkowem oświadczeniu, iż Ch. D. chce iść drogą uczciwą, chce wcielać w życie zasady wiary katolickiej, szerzyć kulturę polityczną, ten sam autor (ks. Z. K.) w „Rzeczypospolitej" pisze o „najwyższem zdumieniu", jakie wywołała w Ch. D. wiadomość, że „reprezentanci stronnictw N. D. i Ch. N." „umożliwili przejście i zatwierdzenie listy jawnie bolszewickiej".

W dalszym ciągu „Gaz. W." ostatnie twierdzenie księdza (!) Z. K. nazywa wyraźnie „nieuczciwością", a jego „najwyższe zdumienie"—„fałszywem".

Niektórzy dziennikarze miewają takie pomysły agitacyjne:

W „Gaz. Warszawskiej" z dn. 11 lutego pisząc, że jakiś b. strzelec zamordował jakąś kobietę, dają z zadowoleniem nagłówek dużemi literami: „Były komendant Strzelca mordercą".

Więc co z tego wynika? I co to ma z wyborami wspólnego?

Tyle chyba, co przypomnienie, że paulin ksiądz Macoch też przecież zamordował kogoś w Częstochowie.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie, na prowincji i zagranicą: miesięcznie 1 zł. 60 gr., kwartalnie 4 zł. 80 gr.
Księżom, urzędnikom państwowym, nauczycielom i akademikom przysługuje zniżka 25%.
CENA OGŁOSZEŃ: cała strona 600 zł. i w tym stosunku każda część strony.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki, godz. 6—8.
Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Hoża 41. Konto P. K. O. 16525.

REDAKTOR **ROMAN PYTLASIŃSKI.** WYDAWCA **HIPOLIT KONSTANTY OŻAROWSKI.**

Drukarnia „OSTOJA" Warszawa, Tamka 37. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.